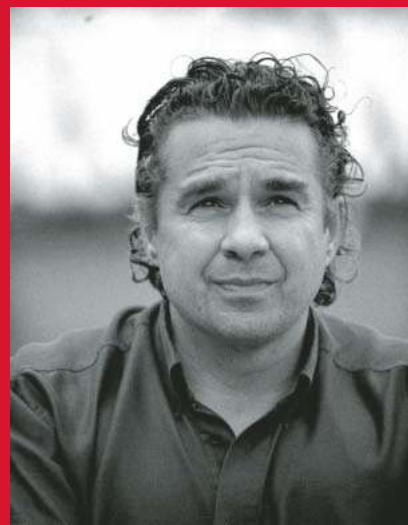


Zbigniew Górniak

# SIOSTRA i bYK



w  
ab  
y d. awnic  
two



## Zbigniew Górniak

(ur. 1961) – dziennikarz, reportażysta, felietonista, autor wywiadów telewizyjnych, scenarzysta programów publicystycznych (m.in. *Połączy dla TVP 1*). Były redaktor naczelny wrocławskiego „Echa Miasta”. Zadebiutował w 2006 roku powieścią *Pulpa fikcyjna. Albo dwa wesela i pogrzeb kapitana Żbika*. Książka zebrała przychylnie recenzje. *Siostra i byk* to jego druga powieść.

**SIOSTRA**  
**i bYK**



Zbigniew Górniak

**SIOSTRA**  
**i bYK**



Wydawnictwo  
**ab**  
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009  
Wydanie I  
Warszawa 2009

# 1

Oddech Izabeli Bocheńskiej był tak głośny i zachłanny, jakby pragnęła wciągnąć nosem całą tę rozkosz, w której się pławiła. Spoczywała na leżance zaprojektowanej przez samego Apolloniusa, a od prawdziwej skóry w kolorze beżu oddzielało ją prześcieradło pachnące lawendą. Jej plecy lśniły olejkami z mutengi, niezwykle rzadkiej byliny występującej wyłącznie na Tasmanii. Pierwsze tłoczenie, sto euro za dwustumililitrowy flakonik.

Wzdłuż kręgosłupa Izy tańczyły palce masażystki, jak dziesięciu chippendalesów z zespołu Nadwiślańskie Cyngle, którym swego czasu w klubie „Kosmos” wkładała za majtki banknoty o nominale nie mniejszym niż dwadzieścia złotych. Nazwanie masażystki mistrzynią to językowy banał, ale kto w takim błogostanie zawracałby sobie głowę szukaniem bardziej wyrafinowanych słów?

– I jak się bawiłaś? – padło pytanie z leżanki Moniki Oliwnik. Dziennikarka przybyła do ośrodka na cały długi weekend, żeby – jak głośno i wielokrotnie podkreślała – „odkazać się po kampanii wyborczej”.

– Byle jak – odparła od niechcienia Izabela. – Sama wiesz, jak to jest, kiedy bankiet zdominują małpy z show-biznesu. Te ich ortopedyczne buciki, te ufarbowane włosy, te dresiki z kapturkami. I każdy ma ciemne okulary nad czołem. No i jakiś interes do obgadania... Nuda... Banał... Sztampa... – Dłoń Izabeli powędrowała do stolika na hebanowej nodze i wyluskała z papierosnicy cienkiego davidoffa. Coś nad jej głową kliknęło przyjaźnie i przy końcówce papierosa pojawił się żar zapalniczki. Farma była prywatna i właścicielowi ani się śniło ulegać antynikotynowym obsesjom państwa.

– Mają do ciebie interes, bo jesteś kimś. Szefowa Banku Inicjatyw Brukselskich. To brzmi jak Łatwa Forsa do Wyjścia... – Monika wyduła wargi. Jej włosy skrywał turban z białego ręcznika, a na twarzy miała maskę z wiórków kokosowych. Głowa gwiazdy TVN była teraz jak gigantyczna kulka raffaello i każdy brukowiec zapłaciłby za takie zdjęcie fortunę.

– Taaa... – potwierdziła Izabela leniwie. Przypomniał jej się podpity poeta z Krakowa, który próbował uwodzić ją obietnicą, że kolejny tomik zadedykuje właśnie jej, pod warunkiem że Bank Inicjatyw Brukselskich wyłoży na jego poezję pieniądze. O artyście powiadano, że jest oniryczny, ale Iza wstydziła się spytać Monikę, co znaczy to słowo. – Taaa... Gdzie pełne sieci, tam kłusownicy – podparła się swym ulubionym powiedzon-

kiem, zasłyszonym na spotkaniu z profesorem Francisem Finkym z Uniwersytetu w Ohio; tysiąc pięćset dolarów za trzy kwadranse wykładu w hotelu Sobieski, z czego przynajmniej dziesięć minut zmarnowanych na dostrajanie mikrofonu.

– To sobie teraz wyobraź, co ja przeżywam, kiedy gdzieś się pokazuję. – Monika umoczyła koniuszek języka w kryształowym naparstku wypełnionym Crème de Cassis de Dijon. – Im większy burak, tym bardziej chce mi się wepchać do programu.

– Taaa... Gdzie pełne sieci, tam kłusownicy – powtórzyła leniwie Iza, zapatrzona w panoramiczne weneckie lustro, za którym pysznił się zimowy ogród pełen skał i paproci oraz basen wypełniony gorącą wodą i bogaczkami pluskającymi się jak foki. Chippendalesi na jej plecach wypróbowywali właśnie nowy krok.

Wniesiono tace z sushi i ustawiono u wezglowi leżanek. Izabela poszukała wzrokiem zawiniątka z rybą maślaną, a potem, dla zaostrenia apetytu, nałała sobie do czarki sake.

– No to za tę naszą niedolę, Monia – wzniosła toast, lecz ręka zawisła w połowie drogi do ust, bo ktoś nad jej głową rozdarł się nieludzko...

– I-zau-ra!!!... Izauuuuurrrraaaaa!... Izaura, do kurwy nędzy!... Gdzie jest adrenalina?!... Zastryk trzeba zrobić!... Izaura, kurwa mać, Lewicki ma atak!... I-zau-ra, zbudź się, suko!

Izaura! Brrr... Nienawidziła tego imienia! Dwadzieścia dziewięć lat temu skrzywdzili ją nim rodzice, powodo-



wani natchnieniem, jakie spłynęło na nich z kart księgi imion. Nie dość, że pasowało do nazwiska jak dżem do śledzia, to wkrótce odcisnął na nim nieusuwalne piętno brazylijski serial *Niewolnica Izaura*, hit hitów PRL-owskiej telewizji.

Izaura Bochen! Groteskowość tego zestawienia zaczęła dawać się jej we znaki mniej więcej w piątej klasie podstawówki. Bochen Izaura była pierwsza w dzienniku i gdy pani od polskiego rozpoczynała sprawdzanie obecności, brzmiało to jak wybuch bomby wypełnionej ironią. Po przykrym incydencie na międzyszkolnej uroczystości wręczenia świadectw maturalnych, kiedy wy czytanie jej nazwiska wzbudziło ogólne rozbawienie i nawet kurator wojewódzki nie krył uśmiechu, Izaura postanowiła sobie, że kiedyś to zmieni. Izaurę zastąpi Izabela, ale tylko z jednym „l”, żeby nie wyszło pretensjonalnie. A ciężki „Bochen” – jeśli jej przyszły mąż będzie się nazywał byle jak – zostanie zastąpiony „Bocheńską”. Lecz minęły lata i nic w jej dowodzie osobistym się nie zmieniło. Nie znalazła męża, choćby z byle jakim nazwiskiem.

– Izaura, bo Lewicki wykituje! Wykituje nam! Wstawaj! – Głos należał do Lucyny Bombik, pielęgniarki. – Wracam na salę, a ty zastrzyk...

– Przecież nie śpię! – Otworzyła oczy i zerwała się z fotela, zapominając o tacy z jedzeniem, którą miała na kolanach. Kanapki z pastą śledziową upadły posmarowaną stroną do dołu, jak zawsze.

Lewicki... Lewicki... – szarpiąc się z opakowaniem strzykawki, próbowała przywołać w pamięci twarz chorego. – Aha, to ten stary, który nazwał mnie szympansicą!

Wkroczyła do sali niczym filmowy komisarz podczas nalotu na podejrzaną spelunę. Zamiast rewolweru i policyjnej odznaki trzymała w uniesionych dłoniach strzykawkę oraz gumowy kołek do gryzienia.

Lewicki trzepotał się między łózkami jak wielka ryba, która wyskoczyła z akwarium. Z grzebieniem w zębach, zaśliniony, straszny. Do podłogi przyciskał go kolaniem wytatuowany mężczyzna w samych tylko spodniach od piżamy, inny pacjent krępował Lewickiemu ręce, z nogami mocowała się Lucyna. Chory omiatał swych poskramiaczy oczyma bez źrenic i powiek: przekrwione wybałuszone białka, spojrzenie demona.

Mężczyzna z tatuażami to był stary szpitalny wyjadacz. Zobaczywszy pielęgniarkę, odsłonił Lewickiemu biały jak twaróg pośladek. Igła weszła w ciało, znie ruchomiła na trzy sekundy i cofnęła się, zostawiając krwawą kropkę przykrytą natychmiast wacikiem. Tymczasem Lucyna wyrwała z ust pacjenta grzebień i wsadziła tam gumowy kołek.

Po półminucie atak ustąpił, choroba wycofała się do swojej kryjówki w mózgu, aby wyczekać tam kolejnej okazji do draki. Można było rybę podnieść z podłogi i wrzucić z powrotem do akwarium. Na korytarzu dudniły drewniaki lekarza, który wezwany przez telefon, biegł właśnie ze swojej kanciapy.

– Już po wszystkim, już po wszystkim, panie Lewicki. Wrócił pan już do nas. Już po wszystkim... – Izaura

głaskała chorego głosem dobrym i ciepłym. Mimo zawodowej rutyny, która położyła się na jej twarzy maską znużenia; mimo drastycznych scen, jakich od lat była świadkiem i uczestnikiem; mimo wypowiedzianych tysiące razy mniej lub bardziej sztampowych pocieszeń – jej współczucie wciąż było szczere. Jakby nadal chodziła do pierwszej klasy liceum pielęgniarskiego. – Już po wszystkim... – kruszyła szeptem strach pacjenta.

I wtedy jego lewe oko, które jeszcze przed chwilą zaglądało w zaświaty, mrugnęło do niej filuternie. Jakby nic się nie wydarzyło! Jakby siedzieli teraz nie w sali cuchnącej przeпоconą pościelą, lecz w ogródku piwnym gdzieś nad jeziorem. To już nie był wzrok demona zmagającego się w zapasach ze świętym Witem, ale starego podrywacza i warchoła. Na dodatek, jak odkryła Izaura, całkiem jeszcze przystojnego.

Gdy za jakiś czas próbowała sobie przypomnieć, gdzie wcześniej widziała tę zawadiacką twarz mężczyzny puszczającego do niej oko, w zakamarku mózgu wyświetlił jej się epizod z filmu *Anakonda*. To była produkcja hollywoodzka sprzed lat, klasy B, choć momentami błyskotliwa. Oglądała ten film w kinie z systemem Dolby Surround w mieście wojewódzkim, gdzie zabrał ją jej ówczesny zalotnik. Wszystko tamtego dnia odbyło się według wyświechtanego scenariusza: kino, spacer, pizza, lody, wino, łóżko. I właśnie w łóżku, gdy miała już na sobie tylko łańcuszek z Pierwszej Komunii i zdyszanego kochanka, nie wiedzieć czemu, stanęła jej przed oczyma scena z obejrzanego wcześniej filmu. Grany przez Jona Voighta łowca węży, stary zabijaka i awanturnik, zostaje

połknięty żywcem przez gigantyczną anakondę. Po jakimś czasie wąż wypływa człowieka. I oto myśliwy, cały śliski od gadzich płynów i nieco już nadtrawiony, podnosi nieoczekiwanie powieki, po czym puszcza oko do bohaterki, którą od początku filmu próbował uwieść. A potem pada trupem.

Ta scena na długo zapadła w pamięć Izaury, pewnie za sprawą łobuzerskiego uroku Jona Voighta, który choć pozostawał na ekranie, to feromony wydzielał, jakby go miała na fotelu obok. Wtedy jeszcze było mu wolno; nie wiedział, że wkrótce wcieli się w postać polskiego papieża.

A tamten zalotnik od kina okazał się jednodniową jętką, choć nazwisko miał niezłe: Dębski.

Anakonda – postanowiła w myślach. Anakonda... Zacznę od dziś nazywać Lewickiego Anakondą. Zachichotała do własnych erotycznych skojarzeń. Mirosław Anakonda Lewicki... To jak pseudonim jakiegoś boksera albo zapaśnika. Władca ringu z wielkim łbem węża wytatuowanym na kłacie. Uścisk, który zabija...

W dyżurce zajrzała do karty Lewickiego. Wynikało z niej, że nigdy wcześniej nie miał ataku padaczki. Tak przynajmniej powiedział w wywiadzie lekarskim, chociaż to niczego nie przesądzało, bo chorzy trafiający do ich ośrodka to była pierwsza liga kłamców.

Sprawdzała kolejne rubryki, zdumiona swą ciekawością.

Stan: wolny. Mhm...

Zawód: doradca finansowy. Ło!

Osoba, z którą można się kontaktować: brak. Dziwne... Taki facet ma chyba cały tabun przyjaciół. No i dzieci, musi przecież mieć dzieci!

Wróciła na sam początek formularza. Data urodzenia: 28 grudnia 1951 roku. Trochę dawno – zmarkotniała. Dwadzieścia siedem lat różnicy, stary...

Stary, ale jary – skontrowała samą siebie, co znów wprawiło ją w zdumienie.

O rany! – nagle uświadomiła sobie, że Lewicki jest o rok starszy od jej ojca. Od tego mężczyzny, który dawno już stracił resztki wigoru i wyglądał teraz jak podstarzała, otyła nauczycielka wiedzy o społeczeństwie, śmiertelnie obrażona na zdradziecką historię. Izaura miała taką nauczycielkę w liceum: minęło już ładnych parę lat od upadku komunistów w osiemdziesiątym dziewiątym, a tamta biedna kobieta, ilekroć wypowiadała słowo „Polska”, zawsze dodawała automatycznie – „ludowa”.

Przypomniało jej się mrugnięcie Lewickiego i poczuła na karku dreszcz. Jakby na jej ramieniu usiadł lubieżny liliput i delikatnie dmuchał. To wpędziło ją w popłoch. Daj sobie spokój, kretynko – skarciła się w myślach – to jest dwadzieścia siedem lat różnicy. Dwadzieścia siedem! Ale dlaczego on nazwał mnie szympansicą?

Wpatrzyła się w lustro nad umywalką w poszukiwaniu utajonych dotąd małpich cech; nie znalazła żadnej. W panice sprawdziła stan owłosienia pod pachami – może Anakonda ten szczegół miał na myśli? Ale po ostatniej depilacji jeszcze nic nie zdążyło wykielkować.

– Bo ty już stara dupa jesteś – powiedziała ponuro do swego odbicia. – Stara dupa, która potrzebuje dojrzałego mężczyzny. – Uniosła sobie piersi kantami dłoni, jej wzrok wyrażał aprobatę i dumę. – Ale cyc nadal masz pierwsza klasa.

Podniosła bluzkę i przyglądała się z uznaniem dwóm chińskim znakom usytuowanym po obu stronach pępka. Rysunek był misterny i wypukły, wyglądał jak haft, jakby pod skórę wprowadzono granatową wstążkę. – Najnowszy krzyk mody – zachwalał upalony haszyszem łysy olbrzym, do którego należała nora, bardzo na wyrost nazwana studiem tatuażu.

Izaura nie miała pojęcia, co oznaczały litery, ani nie była tego ciekawa. Po prostu wybrała je z katalogu, bo jej się spodobały. Poza tym chciała być modna: od kilku dobrych lat pół Polski obnosiło na piersiach, łopatkach, łydkach, bicepsach i pośladkach azjatyckie znaki. – Wałęsa obiecywał, że będziemy drugą Japonią, i proszę... – powiedział któryś z kolejnych zalotników Izaury, próbując bezskutecznie zlizać litery z jej brzucha. (Miał nazwisko bez końcówki „ski”, ale za to obco brzmiące: Holzer.)

– A co, jak to jakieś bluźnierstwo jest? – piekliła się matka, gdy Izaura, bawiąc u niej z wizytą, nieopatrznie wyszła z kąpieli w samych majtkach. – Skąd wiesz, co ci tam napisali? Jakie to świństwa nosisz na skórze? W wiosce mojej mamusi jeden artysta pod obrazem świętej panienci czarta namalował. Modlili się ludziska przez lata, aż patrzą, farba się łuszczy. Poszkrobali, a tam spod świętej diabeł wyłazi. Naród pół

wieku przed szatanem klękał! – wyśpiewywała swym akcentem przywiezionym z Kresów ostatnim transportem repatriacyjnym.

– Błuznierstwo to jedno, ale kto ci zagwarantuje, że ten napis nie oznacza cielęciny w pięciu smakach? Albo sajgonki wegetariańskiej? Nie chciałbym, aby moja córka obnosiła na brzuchu jadtłospis chińskiej knajpy – wtrącił się ojciec, bo zawsze się wtrącał.

Gdy chwilę później Izaura przywracała porządek w gablocie z lekami, naszła ją myśl, że różnica wieku między nią a Lewickim jest jednak mniejsza. Przecież on urodził się pod koniec grudnia, a ona drugiego stycznia. To tylko dwadzieścia sześć lat i pięć dni – obliczyła i odczuła coś w rodzaju ulgi. Ale za chwilę uświadomiła sobie absurdalność tych rachunków. Jakie „tylko”? Jakie „tylko”, idiotko?

Mimo to kalkulowała dalej. Dwadzieścia sześć lat razy trzysta sześćdziesiąt pięć plus pięć dni... Ale przecież są jeszcze lata przestępne! Ile taki rok przestępny ma dni? Trzysta sześćdziesiąt sześć czy trzysta sześćdziesiąt cztery? Sięgnęła po leżący na biurku kalkulator.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że liczenie stanie się niebawem jej wielką namiętnością.

\*

*Kryptonim „Hossa”  
Raport z obserwacji operacyjnej  
Raportujący: „Skowron”*

*Zgodnie z otrzymanym poleceniem przybyłem na miejsce operacji, żeby podjąć obserwację Obiektu. Obecnie leżymy obaj w dziesięcioosobowej sali oddziału detoksykacji szpitala. Ja leżę trzy stanowiska od Obiektu. Według mojej oceny Obiektowi nie zagraża tu żadne niebezpieczeństwo ze strony pacjentów: to odtruwający się wycieńczeni pijaczkowie, robotnicy, kilku urzędników, rzemieślnik, student, a w części także tak zwany element. Grają w karty, rozwiązują krzyżówki albo po prostu leżą. Zachowań agresywnych z ich strony nie odnotowałem. Nie są też specjalnie nachalni w stosunku do Obiektu, może tylko trochę interesuje ich jego częste korzystanie z laptopa. Mówią na niego „dyrektorek”.*

*Melduję, że nie uznałem za stosowne wnoszenia tu broni, byłoby to zbyt niebezpieczne. Służbowy rewolwer zabezpieczyłem w skrzynce kontaktowej SK 03B. Stan upojenia alkoholowego, w jaki się zgodnie z poleceniem wprowadziłem przed przywiezieniem mnie tutaj, trwał trzy dni. Koszty wyniosły 428 złotych, wliczając w to taksówkę do szpitala. Rachunki za konsumpcję i transport przedstawię po zakończeniu zadania. Gdy mnie przyjmowano, miałem we krwi 2,7 promila alkoholu.*

*Moja obecność tu nie wzbudziła podejrzeń. Od dwóch dni Obiekt czuje się już dobrze, zmniejszono mu dawkę leków, pracuje coraz intensywniej, łączy się z internetem, wykonuje po kilkanaście telefonów na dobę.*



Rozmawia głównie z biurem maklerskim, co wnioskuje ze słów Obiektu. Jego rozmówcą jest najczęściej jakiś „pan Adam”. Dzwonił też do sąsiadów, żeby zainteresowali się mieszkaniem. I jeszcze odwoływał jakiś wyjazd do Londynu. Kiedy udał się pod prysznic i zostawił komórkę w kieszeni szlafroka, wszedłem dyskretnie w posiadanie ostatnich dziesięciu numerów, pod które dzwonił. Odtworzyłem je z pamięci, niektóre miały dopisane imiona rozmówców – wszystko to jest w załączniku do niniejszego raportu.

Obiekt żartuje z pielęgniarzami, zdaje się, że jedna wpadła mu w oko. Jej personalia to: Bochen Izaura. Można by sprawdzić, czy nie znajduje się w katalogu zbiorów osobowych naszego resortu. Ułatwiłoby to nam dotarcie operacyjne. Potwierdza się, że Obiekt jest kobieciarzem, co sugerowano w charakterystyce. Obiekt czyta książkę pod tytułem Perwersje. Rosyjskie nazwisko autora obudziło moją czujność, ale to tylko nowocześnie napisany, na dodatek przez Ukraińca, przewodnik turystyczny po Wenecji.

*Ku chwale ojczyzny!*

„Skowron”

PS

Przed godziną Obiekt miał atak padaczki alkoholowej, teraz śpi po zastrzyku. Wykorzystałem to i próbowałem skontrolować jego laptop, ale był zahasłowany. Czy dla naszych informatyków stanowiłoby to duży problem?

Koperta leżała na szkłe pokrywającym blat biurka, tuż obok naklejki propagującej ogólnopolską akcję wymierzoną w łapownictwo. Dłoń pokazująca figę obwiedziona była hasłem „Ja nie biorę i nie daję”; pół szpitala rechotało po kątach, gdy ordynator osobiście umieszczał nalepki w widocznych miejscach.

– Siostrzo, naprawdę proszę wziąć. Należy się siostrze. To uczciwie zarobione pieniądze. – Dłoń Lewickiego przesunęła kopertę po szkłe, pod którym jaskrawiły się widokówki, przysyłane przez byłych pacjentów jako dowód ich powrotu do życia. Uwagi Izaury nie uszły jego wypielęgnowane dłonie i dyskretny sygnecik na małym palcu lewej ręki. Białe złoto z kropelką krwawnika. Niestety, zegarek Lewickiego przysłonięty był rękawem szlafroka.

– Mówiłam już, że nie mogę. Poza tym nic z tego nie rozumiem. Jakie akcje? Jaka giełda? Jaki byk na parkiecie?

– A ja mówiłem już, że siostra jednak może. To siostry zarobek. Pięć procent, zwyczajowa prowizja, którą doradca nalicza sobie od zysku nieznanego mu klienta. Bo od stałego bierze trzy procent. Siostra mnie nie знаła, więc jest pięć procent.

Przyszedł zaraz po wieczornym obchodzie, kiedy Izaura została w dyżurce sama. Niepodobny do tamtego Lewickiego sprzed dwóch dni, podnoszonego z podłogi po ataku, i jeszcze bardziej niepodobny do Lewickiego, który został tu przywieziony dni temu

osiem. Zmartwychwstaniec. Doskonale znała ten rytuał odrodzenia.

Najpierw do sali wchodzi pielęgniarz i sprawdza, które łóżko jest wolne. – Przywieźli świeżego – oświadczą, wzniesając radosne poruszenie, bo nikt nie lubi być sam w nieszczęściu. Po kilku minutach pojawia się pacjent, który wcale na świeżego nie wygląda, no, chyba że na świeżego trupa. Prowadzą go albo niosą: we dwóch lub w trzech, za nimi żona z wypchaną reklamówką i książeczką zdrowia w dłoni. Roztrzęsiony, ośliniony starzec. Oczy schowane pod opuchlizną, maska zarostu, jajecznicza smarków pod nosem. Na głowie gniazdo niechlujnego ptaka. Dłonie w strupach. Skumulowany odór wódki – z tygodnia, miesiąca, półrocza. Rzucają go na łóżko, lecz on w tej szpitalnej sali, nawet przebrany w piżamę, wciąż wygląda nieprzyzwoicie. Kanałowe zwierzę, zjawa z rynsztoka. Upiór. Szmata. Zero.

I mijają dwa dni, kiedy pozostali lokatorzy sali detoksykacyjnej widzą tylko biały owal na łóżku świeżego. I kroplówkę z przewodami znikającymi pod pościelą. Czasem owal zmieni pozycję, czasem zachrapie. Trzy razy dziennie pod kołdrę zajrzy ktoś z personelu medycznego, podetka kaczkę, wstawi basen.

Aż trzeciego dnia rozpoczyna się rytuał powrotu. Kołdra zostaje odrzucona i świeży znika na dobre pół godziny w łazience – wraca ogolony, ze skórą czerwoną od ukropu, z włosiem rozczesany, przyklepanym do czaszki, odszorowany, młodszy o dziesięć lat. Po dniu, dwóch schodzi opuchlizna. Ruchy nabierają sprężystości, twarz się wysubtelnia. Świeży, naprawdę od-

świeżony, starannie układa w szpitalnej szafce przybory toaletowe, długopis, sztuce i paczki papierosów. Na ramie łóżka rozwiesza ręcznik. Następnie wsuwa stopy w pantofle, poprawia poły szlafroka, wkłada okulary w całkiem przyzwoitych oprawkach, które opuszcza na czubek nosa, aby móc spoglądać na świat inteligentnym spojrzeniem znanego współczesnego prozaika albo jakiegoś innego felietonisty ważnego pisma, po czym zabiera się do rozwiązywania krzyżówek. Zna większość haseł i okazuje się przemiłym nauczycielem geografii, który wyedukował kilkunastu olimpijczyków.

– Pięć procent, mówi pan? – Patrzyła na niego z zainteresowaniem. Ogolony, rumiany, pachnący czymś piekielnie drogim. O takich jak on nie mówi się „alkoholicy”, tacy jak on „mają problem”. Izaura podziwiała czarny pikowany szlafrok Lewickiego z motywem harcerskiej lilijki w kolorze starego złota. Skrywany kompleks ukąsił ją znieńacka: w jej domu nie noszono tak kosztownych szlafroków, ojciec nigdy nie wydałby pieniędzy na taki ciuch, może nawet wykpiłby go jako pedalski. Pod pewnym względem ojciec górował jednak niewątpliwie nad Lewickim: nie brał do ust alkoholu. Z przekonania. Być może dlatego był tak zasadniczy i małostkowy zarazem.

– Ten tysiąc złotych to pięć procent? To wychodzi, że pan zarobił... – Policzyła w pamięci i krzyknęła: – To pan zarobił dwadzieścia tysięcy?!

– Pani dla mnie zarobiła, Izauro. – Skłonił się szarmancko, aż krzyżyk na srebrnym łańcuszku zawieszony na jego szyi stuknął o taflę blatu. Te jego bruzdy

policzkowe... Każda agencja reklamująca ubrania dla dojrzałych facetów dałaby mu robotę od ręki. „Od-różnia mężczyznę od chłopca”, jaki to produkt promo-wano niedawno tym hasłem?

Milczała przez chwilę, oszołomiona sytuacją.

– W jaki sposób zarobiłam? Proszę mnie wreszcie oświecić!

– Pamięta pani ten dzień, kiedy poprosiłem o podyk-towanie mi pięciu liczb od jeden do dziesięć?

– Pamiętam, to było zaraz, jak pana przywieźli. Czy to znaczy, że wygrał pan w totka?!

– Nie, nie w totka. Inwestowałem w akcje. A pani myślała, że te liczby potrzebne mi do totka?

– Tak mi się wydawało – odparła. I dodała po chwili z naciskiem: – To wtedy nazwał mnie pan szympansicą.

– Przepraszam. Obraziłem panią?

– Gorzej tu już na mnie mówiono. Myślałam, że pan jeszcze pijany, długo się trzeźwieje po czterech promi-lach. – Przypomniała sobie szczególnie wyczytany w jego karcie.

– Aż tyle mi nabiło? Powinienem już nie żyć – zdziwił się, ale w jego pytaniu pobrzmiwała duma. – No to musiała być niezła balanga, szkoda, że tak mało pa-miętam. Ale do rzeczy. Z tą szympansicą to był żart. Giełdowy dowcip. Kiedyś grupa analityków z Wall Street... – Spojrzała na nią badawczo. – Wie siostra, Wall Street, ta nowojorska ulica, gdzie...

– Drogi panie, to, że siedzimy na tym zadupiu, nie znaczy, że nie wiem, co to jest Wall Street!

Lewicki spuścił oczy z wystudiowaną pokorą flirtarza.

– No więc ta grupa analityków zabawiła się w taki sposób, że na początku roku każdy wytypował dziesięć spółek giełdowych, które według niego osiągną po dwunastu miesiącach największy wzrost. Do kapelusza wrzucili po pięć tysięcy dolarów od głowy. To była nagroda dla tego, czyja prognoza okaże się najtrafniejsza. Jeden z nich miał małpę i przyprowadził ją na zebranie. Bogaci ludzie mają fanaberie... Małpa była tresowana, umiała rzucać lotkami. I oni wpadli na pomysł, żeby wypisać na tarczy nazwy wielu spółek i niech małpa rzuci dziesięć razy. Wie pani, co się okazało po roku? Konkurencję wygrała małpa. To była szympansica.

– A więc zrobił pan ze mnie swoją małpę! Dziękuję bardzo – powiedziała z udawaną złością, na co on po raz kolejny odegrał tę swoją pokorę starego cwaniaka.

– To ja dziękuję. Prosiłem o pięć liczb od jeden do dziesięć, bo za każdym razem gram tylko pięcioma spółkami spośród dziesięciu, do których mam zaufanie lub sentyment. Tamtego dnia wszystko bardzo mocno spadało, była okazja do świetnych zakupów, a ja nie mogłem się zdecydować. Giełdowa korekta... – Przerwał pod wpływem jej zdziwionego spojrzenia. – No, chwilowy spadek cen akcji, po którym na ogół następują wzrosty, więc warto wtedy kupować. I wzrosty rzeczywiście nastąpiły. Wczoraj sprzedałem to, co kupiłem. Zarobiliśmy na garniturach, prezerwatywach, „Gazecie Wyborczej”, wódce i piwie.